

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



ALFONS XIII.

Opowiadanie prawdziwe o maleńkim królu,
spisała Zofia Urbanowska.

letni król. Ma jak każdy dorosły monarcha swój dwór wojskowy i cywilny, składający się z jenerałów, adjutantów, paziów, burgrabów, guwernerów, lekarzy i wielu innych osób; ma mundur wojskowy, który czasem nosi, z malutką złotą szpadą zastosowaną do swego wzrostu — a jazda jego na otwarcie obrad senatu, przedstawia prawdziwie wspaniały widok. Ośmiu bogato przybranych koniuszych, ciągnie karete z szyldkretu i złota. Kareta ta jednakże jest pusta i wówczas tylko król do niej przesiada, gdy inna w której jedzie, ulegnie w drodze jakiemu niespodzianemu wypadkowi. Ta druga jest z czarnego palisandru ze złotymi ozdobami, ma koła purpurowe i kształt baldachimu, po nad którym unosi się królewska korona. Zaprzężona jest w ośm angielskich rasowych koni, maści izabelowej: konie te strojne są w dyademy z białych strusich piór z kitami, a kity spięte białymi aksamitnymi przepaskami, na których błyszczą drogie kamienie. Szory są z purpurowej skóry, złotem nabijane. Z lewej strony karety jedzie konno minister wojny, z drugiej jenerał-kapitan miasta. W karecie siedzi królowa matka w czarnych wdowich szatach, których nie zdjęła od śmierci ukochanego męża, i trzyma na kolanach syna ubranego w biały płaszcz; naprzeciw siedzi w przepysznym bogatym stroju piastunka, a dawniej siadywała mamka, zabierana na wypadek, gdyby apetyt młodzietkiego władcy przeważył nad jego zajęciem się obradami senatu.

Kraj któremu ten maleńki król panuje, jest duży i piękny: na zachód graniczy z krajem bratniego plemienia, od północy strzegą go morskie bałwany i góry niebotyczne —

W pewnym bardzo dalekim kraju, gdzie słońce o wiele później niż u nas wschodzi i zachodzi, panuje maleńki cztero-

morze też od wschodu i od południa obmywa jego brzegi. A pomiędzy tem morzem i temi górami rosną soczyste pomarańcze i granaty, słodkie figi i daktyle, rosną wyborne migdały, oliwa, wino, trzcina cukrowa i bawełna, bo w kraju tym lato bywa bardzo gorące, gorętsze niż u nas, więc wszystkie owoce południowe dojrzewają. I nietylko na powierzchni ziemi znajdują się tam bogactwa, przynoszące w zamian za nie mieszkańcom pieniądze od obcych ludów; we wnętrzu ję są jeszcze większe i cenniejsze skarby: jest żelazo, miedź, złoto, srebro, jest sól węgiel i wiele innych cennych kruszców i minerałów; są marmury jaspisy, alabastry — są nawet drogie kamienie: rubiny, dyamenty, topazy, granaty, turkusy i inne. Lud tam mieszka rycerski, waleczny, pobożny, ale gwałtowny i zapalny jak siarka; o byle co porywa się zaraz do oręża, to też ziemia tego kraju obficie jest krwią przesiąknięta. Jeden z dawnych władców ję mawiał z dumą, że w jego państwie „słońce nigdy nie zachodzi”, posiadał bowiem rozległe kraje na drugiej półkuli świata, a wiadomo że gdy słońce zachodzi u nas, to tam dopiero wstaje. Tym sposobem król ów nie mijał się z prawdą.

Teraz już pewnie każdy zgadnie, że kraj o którym mowa, leży na zachodzie Europy, a jeografowie nazywają go Hiszpanią; że stolicą jego jest duże, wspaniałe miasto Madryt nad rzeką Manzanares. Tam stoi zamek maleńkiego króla, który przyszedł na świat w niezwykłych okolicznościach. Żeby zaś te okoliczności były dla czytelników naszych zrozumiałymi, musimy się nieco w przeszłość Hiszpanii cofnąć.

Jeden z przodków Alfonsa XIII-go który nosi rodzinne nazwisko Burbon, Filip V-ty, w pierwszych latach wieku ośmnastego, bo w r. 1713, wprowadził do Hiszpanii prawo tak zwane *salickie* *), usuwające kobiety od dziedzictwa tronu. W sto lat potem Ferdynand VII-my, pradziad dzisiejszego króla skasował to prawo, bo nie miał męskiego potomka tylko córkę, i żał mu było że ona tronu po nim dziedziczyć nie będzie. Po śmierci więc jego, wstąpiła na tron córka Ferdynanda Izabela II, ale brat rodzony ję ojca don Karlos, który wedle dawnego prawa miał po nim panować, uznał się za pokrzywdzonego i zaczął praw swoich dobijać się orężem. Wszyscy co mu sprzyjali i skasowanie prawa salickiego uważali za czyn bezprawny, przyłączyli się do niego i tak powstało stronnictwo karlistów, które przez lat sześćdziesiąt było powodem ciągłych zamieszek i wojen domowych w Hiszpanii. Stronnictwo to istnieje dotąd, bo don Karlos nie rzekł się swoich praw, tylko je przelał na syna, a górale północnych prowincyi, Nowary, Biskoi i Guiposcoi, sprzyjają mu stale — tam też jest główne siedlisko spiskowych, gotowych zawsze do powstania.

Panowanie córki Ferdynanda Izabeli, babki Alfonsa XIII-go żyjącej jeszcze dotąd, nie było szczęśliwem. Kraj trapiiony ciągłymi buntami karlistów, potrzebował męskiej głowy i męskiej energicznej ręki do ich poskromienia, a delikatna dłoń niewieścia trzymająca wodze rządu, nie zawsze mogła sobie dać radę. Niezbyt szczęśliwa w wyborze najbliższych doradców królowa, zniechęciła ku sobie poddanych

tak dalece, że zrobiono rewolucyę i Izabela z mężem Franciszkiem i dziećmi, szukać musiała schronienia w gościnnej Francyi.

Rzeczpospolita trwała w Hiszpanii dwa lata; przywódca rewolucyi generał Prim widząc, że kraj ma ochotę powrócić do monarchicznej formy rządu, a nie chcąc wzywać na tron don Karlosa, z obawy aby dzieci Izabeli nie utworzyły znowu nieprzyjaznego stronnictwa, ofiarował koronę Amadeuszowi, szlachetnemu księciu włoskiemu, synowi króla Wiktora Emanuela. Ale wybór źle był zrobiony ze względu na uprzedzenia narodowe hiszpanów. Nie cierpieli oni cudzoziemców i pierwszy objaw niechęci dla nowego króla, nastąpił w dniu jego wylądowania na ziemię hiszpańską — zamordowano bowiem generała Prima, który go tam powołał. Szlachetny i rozumny Amadeusz panował przez dwa lata i zrobił wiele dobrego dla kraju, ale widząc, że nie zdoła pokonać niechęci poddanych przeciwko sobie jako cudzoziemcowi, złożył koronę dobrowolnie. Hiszpania powróciła do republikańskiej formy rządu i po kilku miesiącach trwania rzezypospolitęj, powołała na tron syna Izabeli, Alfonsa XII-go, ojca dzisiejszego monarchy. Ten po dziesięciu latach panowania, umarł na suchoty w dwudziestym ósmym roku życia, zostawiając wdowę Maryę Krystynę, córkę Karola Ferdynanda arcyksięcia austriackiego i dwie córeczki: Maryę Mercedes i Maryę Teresę; pierwsza ma dziś lat dziesięć, druga ośm. Znowu więc widmo wojny domowej stanęło przed oczyma Hiszpanów, a karliści z zasady rządóm kobiecym przeciwni, podnieśli głowy — zwłaszcza że Krystyna jako cudzoziemka, miała wielu niechętnych: zwano ją pogardliwie „austriaczką”. Ale w sześć miesięcy po śmierci Alfonsa XII-go przyszedł na świat jego synek, ów maleńki król którego portret macie przed sobą, i natychmiast hasła buntu ucichły: kołyska nakazała im milczenie! Uniesienie radości przebiegło kraj cały, niby prąd elektryczny: król, to było zbawienie od wojen domowych, to był porządek i spokój. Dziecko przyniosło z nieba gałązkę oliwną!

Że jednak taki król malutki umie tylko płakać, gdy go co boli, i krzyżeć gdy mu się jeść chce, ale rządzić nie może, a rządzić ktoś musi koniecznie — powierzono rządy królowej Maryi Krystynie z tytułem rejentki, niewieście dzielnej i rozumnej, która zaufania narodu nie zawiodła ani na chwilę. Zrazu nienawidzona, stała się przedmiotem powszechnęj czci i miłości, nietylko dla tego że była matką króla, ale dla swoich osobistych przymiotów. Ona nie przystępna wszelkiej intrydze, nie protekcji ale zasługom ludzi oddawała pierwszeństwo; ona w obec ciężkich przejść dała dowody wyższego umysłu, charakteru, godności; ona w czasie zarazy odwiedzała chorych w szpitalach i niosła im pociechę; ona spełniała swoje obowiązki matki nie jak królowa, ale jak zwyczajna kobieta; ona wreszcie zjednała sobie serca wszystkich, szlachetnym sposobem przejednywania nieprzyjaciół.

Literat hiszpański del Silvio skazany został na wygnanie przez rząd, za artykuł podniecający do buntu. Żona wygnańca udała się do królowej z prośbą o ułaskawienie i królowa prośbę tę uwzględniła; wrócony z wygnania del Silvio, przyszedł królowej dziękować, a ona wstrzymując się od wszelkich wyrzutów i napomnień, spytała go łagodnie:

— Ile pan masz dzieci?

— Sześcioro — odpowiedział.

— To za wiele, podzieli się pan ze mną!

*) Prawo *salickie* istniało od najdawniejszych czasów u Germanów, którzy zawojowawszy Galję, tam je wprowadzili. Że zaś Galja podbita wprzód była przez Franków salickich, nazywających się tak od rzeki Saali, nad którą poprzednio mieszkali, zanim do Galji przyszli, więc ztąd poszła nazwa salickiego prawa, powszechnie w świecie przyjęta.

Odtąd troje dzieci del Silvia znalazło pomieszczenie w królewskim zakładzie naukowym.

Objazdy królowej po prowincjach, bywają prawdziwym pochodem tryumfalnym; nie nazywają jej już „austriaczką”, ale „matką Hiszpanii”.

Narodziny maleńkiego króla tak pożądanego przez naród, obchodzone były z wielką uroczystością. Zaledwie przyszedł na świat, wielka ochmistrzyni dworu wniosła go na srebrnym półmisku, spowiniętego w koronki, do sali gdzie znajdował się prezes ministrów w otoczeniu najwyższych dostojników państwa, i wszyscy powitali go okrzykiem: — Niech żyje król! — a działa twierdzy Madrytu dały dwadzieścia jeden wystrzałów, obwieszając tę radosną nowinę miastu. Gdyby się urodziła księżniczka, wystrzałów byłoby tylko dwadzieścia, taki jest zwyczaj. Stało się to dnia 17-go maja 1886 roku.

Od chwili urodzenia maleńki król zaliczony został do składu armii, obsypany zaszczytami i orderami przez zagraniczne dwory, i zamianowano dlań nadwornego dentystę, którego obowiązkiem jest dwa razy tygodniowo oglądać zęby Jego Królewskiej Mości. Z początku przynajmniej, urzędnik ten nie bardzo się utrudził. Do chrztu trzymał króla przez zastępstwo Papież, a imion na chrzcie dano mu tyle, że nie prędko jeszcze potrafi je wymówić wszystkie od razu, bo aż siedm: Alfons, Leon, Ferdynand, Marya, Santiago, Isideo, Pasqual. Z okazji chrztin nadsyłano mu zewsząd bogate dary, a damy madryckie ofiarowały kołyskę ze świeżych konwalii, arcydzieło sztuki ogrodniczej. Za baldachim służyły jej trzy liście palmy wachlarzowej, na końcach której zwieszały się niby frendzla biała, gałązki konwalii. Mateczka króla chciała małego władcę choć na chwilę położyć na tem wonnem łóżeczku, ale lekarze odradzili z obawy, aby silny zapach kwiatów nie zaszkodził jego delikatnym nerwom.

Maleńki król ma dzisiaj cztery lata, więc jest prawie dorosłą osobą, ale już jako paromiesięczne niemowlę, udzielał uroczystych audyencji. Małżonka posła francuzkiego otrzymała raz od królowej żądane pozwolenie przedstawienia się królowi. Gdy wprowadzoną została przez ochmistrzynię do komnat Alfonsa, mamka zmuszona była zbudzić ze snu monarchę, który oburzony że zakłócają jego spokój, rozkrzyczał się na dobre. Ochmistrzyni dworu nie mogąc powstrzymać uśmiechu, rzekła do żony posła.

— Proszę, aby ekscelencya nie zechciała przywiązywać żadnego znaczenia do niezbyt łaskawego przyjęcia Jego Królewskiej Mości. Dwór nasz żywi najprzyjaźniejsze usposobienie dla kraju, którego małżonek ekscelencyi jest przedstawicielem!

(d. c. n.)

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Jesteś człowiekiem!... — rzekł uroczyście kładąc mu rękę na głowie wedle zwyczaju. Rozpromieniony chłopak ledwo dotknąwszy strzemienia, skoczył na siodło, inni dosiedli także i grząc huczną pieśnią na całą pusztę ruszono z powrotem do domu.

— Eljen Szandor! — i znowu huknęły bicze na zawiadomienie matki i reszty pozostałych, gdy mały zwycięzca

wraz z wesołym orszakiem stanął przed gospodą. Matka do-
tąd przy pracy mężnie ukrywając strach śmiertelny, teraz nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, pochwyliła malca prosto z konia w ramiona zalewając się łzami. Szandor serdecznie odwzajemniał jej pieczyoty, ale wnet coprędzej zawrócił do karego. Klepiąc konika, głaszcząc, całując, karmiąc chlebem, przemawiając doń najczulszemi słowy, Szandor umieścił go w zagrodzie bardzo wysokości ale bez dachu, aby pozbawiając widoku nieba, nie pozbawić fantazyi dzielnego żrebca. Zresztą na razie przynajmniej, kary miał dostatecznie liczne i godne siebie towarzystwo, z wierzchowców w gościnę z panami przybyłych, i zdaniem Szandora nie powinien był nudzić się i tęsknić, co nie przeszkadzało jednak że i młody jego pan, nie odstąpił go do późnej nocy. Całą noc następną stepowa gospoda huczała okrzykami, grzmiała pieśniami, trzęsła się od lomotu tańczących, szalała porywającą muzyką cygańską. Ho! Hop! Bywało tam codzień wesoło, a huczno i dźwięczno w każdą niedzielę, ale takich jak dzisiejsze godów, jak gospoda gospodą nie pamiętano znowu.

Nazajutrz rano przecież wszystko powróciło w zwykłe karby. Odtąd Szandor bujał od rana do nocy na swoim karym po szerokiej puszczy, odwiedzając bardzo często jego rodzinne stado, ze względu na przypuszczalną koniką tęsknotę, której zresztą wcale widać po nim nie było, a także ulegając sympatyj własnego serca, które go ciągnęło do czikosa Pala, serdecznego teraz przyjaciela. Pal i jego towarzysze ze swęj strony, uczuwali dla chłopca tę szczerą prawie ojcowską przychylność, jaką zazwyczaj ludzie dzielni żywią dla podobnych sobie młodszych, niby uczniów w ulubionym zawodzie.

Pomimo wielce drobnej postaci, okazało się że Szandor był wytrwałym, dosyć silnym na swój wiek, a zwłaszcza rze-
czywiście odważnym, z tą dozą zimnej krwi, która pozwala człowiekowi w jednej chwili oceniać właściwie najgroźniejsze niebezpieczeństwo i przeto stać się najczęściej panem położenia. Te ważne zalety zjednały malcowi poważanie dorosłych przyjaciół, spotęgowane jeszcze głębokiem uznaniem, dla jego daru składania pieśni. Pieśń ta nieodstępna towarzyszyła samotności pasterza, brzmiała bezustannie wśród puszczy, jest mu drogą, i nieledwie tak samo konieczną jak pożywienie i powietrze. Grube też tomy możnaby złożyć z tych skarbów starożytnych i nowszych, zapisanych wiernie w pamięci niepiśmiennych tych ludzi. Długie dnie, i noce nawet spędzał chłopczyzna w ich towarzystwie, rozciągnięty w bujnej trawie, śpiewając i lubując się w wywoływanych z głębi piersi dźwiękach, rozlegających się po szerokiej puszczy.

— A teraz ty Szandor zaśpiewaj! — zachęcali pasterze wyśpiewawszy co mieli na sercu. I chłopiec patrząc zadumany na otaczającą przyrodę, śpiewał także co miał na sercu.

Pasterze słuchali uważnie, a gdy Szandor umilkł, którykolwiek z nich, obdarzony tą pamięcią jaka się właśnie u niepiśmiennych ludzi częstokroć najsilniej rozwija, powtarzał natychmiast pieśń, której po jakimś czasie jużby powtórzyć nie umiał. Za pierwszym powtarzali wszyscy chórem i nowa pieśń przyjęta do zbioru siostrzyc starszych, stawała się odtąd własnością ogółu. Księgi pieśniami zadrukowane zniszczyć może ogień lub woda, ale to co zapisane w pamięci pasterza, wytrwa dopóki pasterza starczy. Tak pędzone dni były rozkoszne, i Szandor nigdy w życiu nie pożałowałby zmiany z pewnością, czując się najzupełniej szczęśliwym; to też jak grom z jasnego nieba spadała nań wieść niepodziewana, niweczająca z gruntu szczęście dotychczasowe.

Ojciec Petófi, już od pewnego czasu chodził mocno zamysłony, wodząc oczyma za synem szarpał węża, pociągał i znowu do góry podkręcał raz po raz. robota domowa nie trzymała go się, wyraźnie pod wpływem owładających nim tajemniczych, a ważnych jak widać myśli. Aż raz siedząc z żoną przed domem i patrząc na Szandora, jak przeróżne figle godne dzielnego jeźdźca z Karym swoim wyprawiał, ojciec pociągnął jeszcze raz węża stanowczo, snadź przetrawiwszy już w sobie swe myśli, wyrzekł:

— Dostyc tego!... Wszyscy mi powtarzają, że chłopak jest dzielny, mądry z natury, i w dodatku doskonale pieśni składa, co przecież nie lada kto potrafi. Ma snadź wielkie zdolności. My zaś uczciwą pracą dorobiliśmy się trochę grosza. Nie wart byłbym mieć syna, gdybym nie kochał go bardziej niż samego siebie, nie pragnął dlań lepszej doli niż moja własna. Po co nasz Szandor ma przez całe życie wleprze zabijać, pasterzom w puszcze posługiwać, jeżeli jest zdolnym do czegoś lepszego? Niech jedzie do szkoły między pańskich synów, których uczeni ludzie uczą, niech się uczy, niech zostanie prawnikiem, albo inżynierem!... wielkim panem!

Matka w pierwszej chwili zaniemówiła ze wzruszenia. Groziło jej rozstanie z jedynakiem. Ale myśl o jego przeszłości, stanowisko inżyniera lub prawnika olśniło rozkochaną w synu. Zgodziła się odrazu na wszystko, uznając owszem największą słuszość zamiarów mężowskich.

III.

— Raz, dwa... cell... pal!... Brzdęk!...

— Gdzie jest Michałowa z ciastkami?.. Gwiazdo słoneczna! i ty srebrno świątły księżycu! oto biorę was na świadków niebawale, w historii nieopiewanego dotąd wypadku: słuchaj niebo i ziemi! Słuchajcie ludzie! W znakomitem mieście węgierskiem Selmesz, w gmachu sławnego z uczoności swych uczniów liceum, najslawniejszego z liceów na świecie, z bocznych schodów tegoż gmachu, dnia dzisiejszego w czasie „dziesięciu minut” zginęła, znikła i przepadła „Michałowa z ciastkami” stojąca tamże od niepamiętnych czasów z upoważnienia władzy szkolnej, ku wygodzie uczniowskich żołądków!... Gwałtu ratujcie! Gdzie jest Michałowa?..

— Jestem, jestem już pieszczoszku, synku mój; czegoż bo krzyczysz tak, jakbyś odrazu w dziesięć trąb dał! Bierz, jedz!... potem będziesz płacił koteczku, tylko nie krzycz! Zawołali mię starsi, więc o dwa kroki od moich schodów odeszłam. Czegoż zaraz niebo i ziemię, słońce i księżyc wyzywasz o mnie! gwałtowniku!

— Pudło!... Raz... dwa... Pudło! Wall!... Rąb!

Takie i tym podobne głosy, urwane zdania i okrzyki tarzyszące grom różnym, perory żartownisiów, przepelniały straszliwą wrzawą ogromny dziedziniec liceum w Selmesz, na który wysypała się młodzież, w czasie krótkiego przedpołudniowego wypoczynku. Hałas był ogłuszający, wspólny. A przecież liceum w Selmesz, to zakład naukowy wyższy, po którego uczniach jakiejś takiej powagi można by się już spodziewać. Ale to są wszystko Węgrzy, a każdy Węgier to trzaskająca bezustannie zapalka. Jednakże w jednym z odleglejszych kątów podwórza, panuje gwar cokolwiek mniej głośny, choć wcale nie mniej ruchliwy. Odbywa się tam owa maleńka manipulacja, zakazana przez zwierzchność szkolną, zdolniejszy uczeń zaopatruje mniej zdolnych, w żądane wypracowania, z koleżeńskiej życzliwości jedynie. To Szandor, tak mało zmieniony pomimo kilku lat ubiegłych, że odrazu poznać go można. Dziwne to nawet bardzo, że chłopaczek nie urósł, ani zmężniał w latach, w których najbardziej rósć by powinien. Zmienia go tylko chmura na czole i ten niemily wyraz twarzy, który pospolicie u dzieci „marsem” starsi nazywają. Z rękami w kieszeniach, smutnym wzrokiem gdzieś tam daleko w świat, na niebo z pomiędzy domów wyglądające wpatrzony, mały szczupły chłopiec choć ten sam z pozoru, dziwnie jednak różny jest od rozkosznego malca, bujającego niegdyś na karym tak wesoło po puszcze. Co chwila, śpiesznie załatwiając interes, przystępuje doń jakiś kolega coś szepcząc, nieraz daleko starszy odeń nawet. Czasem kartka już przygotowana, wychodzi z kieszeni zadumanego, czasem zadanie jakiego objaśnia się lub odrabia na poczekaniu, zawsze z tym samym wyrazem ponurzej zdudzonej obojętności. Na sekundę, w przeciwnym krańcu dziedzińca, zjawił się jeden z nauczycieli i znikł natychmiast, ale i ta sekunda wystarczyła bystremu oku doświadczonego pedagoga:

— Tylko spojrzysz kolega z daleka — rzekł w chwilę później, spotkawszy przyjaciela w korytarzach gmachu — spojrzysz co się tam dzieje koło akacy: mały Petöfi wszystkich leniuchów z całej szkoły zaopatruje tam w zadania, ale gdy jego samego „wyrwę” do lekcyi, nie będzie umiał z pewnością. Radbym wiedzieć jaki tam tajemniczy duch uporczywości, czy nieposłuszeństwa siedzi w tem dziecku, i zataja się sam w sobie jak ślimak przedemną... a około niego tworzy się zwolna jakby jakaś milcząca opozycya z jego przyjaciół... A przecież nie pierwsze ono takie dziwne jest w moich rękach, i powinno by już poddać się hm... hm... mojemu systemowi... Albo drukować nie będę!

— Kochany kolego nie martw się! drukuj! Twój system wychowawczy, na długoletniemu doświadczeniu oparty, jest z pewnością głęboko obmyślony, i zwycięży w tym razie jak zwyciężał w innych, tylko trzeba cierpliwości, bo chłopak snadź jest oporniejszy od innych.

— A tymczasem ojczysko, stary Petöfi, dorobiwszy się grosza ciężką pracą, rozkochany w jedynaku i o lepszej dlań marząc przyszłości, złożył jego losy w moje ręce ze szczególniejszym zaufaniem... któremu radbym odpowiedzieć godnie. Doprawdy szczerze pracuję i staram się zaglądać do duszyczki dziecka, i podchodzę na wszystkie sposoby, aby otworzyła się dla mnie: dotąd napróżno!

— A może to już chłopiec taki zimny, i mimo zdolności niedbały o postępy w naukach, na skutek przekonania o swym najętaku?..

— O nie! wszakże uczył się już w gimnazyum w Aszod i w Szend-Lorencz, i... co prawda, niema także ztamtąd zbyt świetnych świadectw... A zdolności są, i ojczysko pragnie mieć zeń prawnika albo inżyniera!

Głos dzwonka przerwał rozmowę. Każdy z dwóch nauczycieli podążył do właściwej sali, żegnając się wzajem przyjacielskim skinieniem. Przechodząc koło okna w korytarzu, stary pedagog twórca „systematu” rzucił jeszcze raz okiem w stronę „akacy” na szkolnym dziedzińcu i westchnął... Szandor stał tam jeszcze „opozycya” otaczała go, jeden, i to ze starszych pisał coś gwałtownie na siniej jakiejś kartce, na kolanie... nagle rozprysnęli się wszyscy.

— Patrzcie państwo! dyktuje! — mruknął staruszek — dyktuje starszym, a sam nie będzie umiał ani w ząb! A ten duży strojniś Pakh, nie wstydy się pisać na siniej kartce za jego dyktandem!..

W kilka sekund później lekcyje odbywały się w zwykłym porządku. Nauczyciel słuchał, poprawiał, wykladał, ale „sina kartka” migotała mu ciągle przed oczyma, niby wyrzut sumienia i dowód niespełnionych obowiązków. Aż wtem... Cóż to znowu? Złudzenie czy rzeczywistość, w wyobraźni czy w istocie sina kartka mignęła znowu wśród ławek, pod stołami z rąk do rąk.

— Co to jest? Czem zajmujecie się przy lekcyi? Pokaż tę kartkę, Falloky! — rzekł profesor, wyciągając rękę dyktatorskim gestem ku występnej ławie, zdecydowany pomścić srogo na nieszczęsnej kartce postępowanie Petöfięgo. Podano mu ją posłusznie: była tam notatka odnosząca się do tylko co objaśnianej właśnie lekcyi jutrzejszej!..

— Nie o tamtę, lecz o tę pytam którą masz ty Naghy!... — powiedział bystry staruszek, kładąc rękę na ramieniu trzeciego z rzędu ucznia, do którego tajemnicza kartka zdążyła już tymczasem zawędrować niewidzialną pocztą. Podstępny wojenne nieudały się, pozostawało się tylko poddać; Naghy spojrział po kolegach badając, czy wypadkiem nie zarzuci mu kto nieuczciwości... i oddał dokument.

(d. c. n.)

OŚMIORNICA.

Dziwo przedstawione na rycinie naszój jest tymże samym potworem, o jakim starsi czytelnicy nasi czytali przerażające szczegóły i opowieści w zajmującej książce Juljusza



Osmiornica.

Verne'a. Ośmiornicą zwana w różnych swych gatunkach, mątwą sepią lub atramentnicą, jest z rodzaju mięczaków, należy do gromady głowonogich. Potworna jej głowa otoczona jest bezpośrednio ośmiu nogami, a te zaopatrzone są mnóstwem narośli, z których każda działać może jak pijawka; przyczepiwszy się do żywego stworzenia, trzyma je tak mocno, że aby je uwolnić trzeba jej oderwać nogę. Oczy ośmiornic ogromne, są zabezpieczone błoną przezroczystą, a otwór ustny jest poprostu zakończony dziobem z twardego rogu... Ciało miękkie, okrutnie niemiłe w dotknięciu, ma u spodu naczynie workowate, pełne czarnego lub ciemnego płynu, który mątwy wypuszczają dowolnie w razie niebezpieczeństwa, aby zmąciwszy nim wodę zamydlić niejako oczy nieprzyjacielowi i ująć przed nim bezpiecznie. Ośmiornice żyją we wszystkich morzach; najpospolitsze są długie na trzy ćwierci łokcia blisko, a jadane z ostatniej biedy przez ubogich nadmorskich mieszkańców. Mają one barwę sinawą, czerwawą kropkowaną, płyn zaś barwy ciemno brunatnej zwany „sepią”. Wewnątrz mają kość czyli skorupę, znajdującą zastosowanie w przemyśle, gdyż daje czarną barwę. Ośmiornice są bardzo żarłoczne, karmią się rybami i skorupiakami.

WIECZOREK W ZALESIU.

— Jeśli nie włożę różowej sukienki, to nie pojedę! — przeciągając się w łóżeczku wołała trzynastoletnia Halinka.

— A jeśli ciocia życzy sobie, żebyś wzięła bronzową?

— To nie pojedę! — powtarzała potrząsając jasnowłosą głową.

Panna Anna nauczycielka, odwróciła się aby ukryć uśmiech zarysowujący się na jej ustach.

Halinka była bardzo dobrą, choć rozpieszczoną trochę przez ciotkę, majątną, bezdzietną osobę, u której chowała się wraz z Bronią, stryjecznią swoją siostrą. Uczyła się dobrze, nieźle grała na fortepianie, rysowała z zamiłowaniem, nie zaniedbywała przytem robót ręcznych, w których dość nawet była biegłą. Kochała też ciotkę z całej duszy, a do panny Anny przywiązała się serdecznie. Żywa, wesola, wyrastałaby na prawdziwą pociechę swych opiekunów, gdyby nie jedna wada. Od pewnego czasu zauważono, że rozwinęła się w niej wielka próżność. Widząc w zwierciadle kwitnącą swą twarzyczkę, błyszczące oczy i jedwabiste złotawe włosy, rozmiłowała się nazbyt w swój urodzie, a co idzie zatem i w stroju.

Po skończonych lekcjach, gdy Bronia z radością biegła do ogródka pleć grządkę, lub polewać kwiatki, ona szła do swej szafy, rozkładała sukienki, kapelusze, płaszczyki, rękawiczki, buciki, oglądając wszystko uważnie, każdy zaś grosz otrzymany na kolendę, czy imieniny obracała na zakup nowego jakiegoś przyboru stroju. Bacząc na inne jej zalety, ciotka nie zbyt energicznie brała się do wykorzenia upodobania, które w tak młodej panience stawało się wielką wadą i śmiesznością. Więcej żartem niż serjo ganiła wychowawce zbyt żywe zajmowanie się swą garderobą, mogące kiedyś przerodzić się w smutną wadę charakteru. Panna Anna także, kochając miłą i zdolną uczennicę, nie miała serca karcąc jej surowo i teraz też odwracała się, aby młoda strojniczka nie dostrzegła uśmiechu, wywołanego jej postanowieniem.

— Komuż tem dokuczysz? — zapytuje wreszcie z udaną powagą. — Zdaje mi się że najwięcej sobie?

— Wszystkim! — bez namysłu odpowiada Helcia. — Wiem że bezemnie nie pojechałaby ani ciocia, ani Bronia, ani nawet pani!

— Proszę, co za pewność siebie. Dla czegoż to bez ciebie nie mogłybyśmy pojechać?

— Bo mię kochacie i nie chciałybyście mię pewnie pozabawić przyjemnej zabawy — odparła przymilając się figlarnie.

— To nie racya! I ty jak sądzę kochasz nas troszeczkę? masz jednak ochotę kapryсами popsuć nam zabawę?!

— Ee — zająkała się trochę Halinka — bo dla czegoż ciocia nie pozwala mi wiaść sukienki różowej? — Wczoraj jeszcze była o niej mowa...

— Przez cały tydzień i wczoraj trwała odwilż, dziś zaś od północy mróz trzyma. Wstawajcie to zobaczycie jaka zadykma i jak dużo przez noc napadało śniegu. Na taką porę, zalekkiem jest strój z jasnego fularu, stosowniejsze sukienki z brązowego kaszmiru, które przecież są ładne i świeże.

— Brr! ciemna suknia, na tańczącą zabawę! — pogardliwie rzekła Halinka.

— A ty Bronisiu czy równie wstręt ten podzielasz? — rzekła panna Anna do drugiej dziewczynki.

— Ja... — odpowiedziała Bronia, naciągając pończochy — wolałabym także moją białą sukienkę i szarfę błękitną. Skoro przecież ciocia każe wiaść bronzową...

— Właśnie, że ciocia nic wam nie nakazuje. Jesteście już w tym wieku, że niepodobna obchodzić się z wami jak z dziećmi. Obie skończyłyście już lat trzynaście... Przedstawiamy wam, co jest odpowiedniejszym do stanu pogody i radzimy życzliwie, zresztą liczy się już na rozsądek, którego wam przybywać powinno z każdą godziną. Halince odkąd była na dzieciennym baliku u stryjenki w Warszawie, zdaje się że jest zupełnie dorosłą panną, spodziewam się też po niej, że pomyślawszy, osądzi sama iż na słotę szkoda niszczyć tak ładnego ubrania, w którym prócz tego łatwo się można przeziębć. Jeśli jednakże zechcecie koniecznie wystąpić w nowych sukienkach, to ciocia na pewno nie wzbroni wam tej przyjemności, ani się pogniewa, choć nie posłuchacie jej rady. Róbcie więc jak chcecie.

Po tych słowach zapanowała cisza..

Bronia włożywszy już buciki zabiera się do mycia, Halinka w łóżku założywszy ręce pod głowę, duma spoglądając w sufit.

— Tak się cieszyłam na tę zabawę! a więcej jeszcze na suknię! — Wzdycha żałośnie.

— I ja także! — wtóruje jej Bronia. — Kiedy jednak cioteczka i panna Anna radzą inaczej, to wezmę bronzową suknię.

— Bronisia już zwyciężyła pokusę! — rzekła nauczycielka. — Jestem pewna, że przykro jej cokolwiek, ale rozsądek wziął górę!

— Ej... co tam Bronisia! — z lekkim skrzywieniem odpowiada Halinka.

— Jakoż? czy przypuszczasz, że nie żal jej ani trochę?

Halinka nic nie odpowiedziała, ale myśli sobie spoglądając z boku na śniadą twarzyczkę, zadarty nos i szerokie usta kuzynki. Jej wszystko jedno, czy ubierze się białą czarno lub czerwono... taka nieładna! Ja to co innego! Gdy ustroję się różowo, rozpuszczę włosy, włożę czarną aksamitkę ze złotym krzyżykiem, wyglądać będę prześlicznie! Wszyscy będą chwalić, uśmiechać się kłaniać, prosić do tańca... ale ja nie będę tańczyła z dziećmi, tylko ze starszymi uczniami, co chodzą w gimnazyalnych mundurkach! Sama przecież panna Anna mówiła że jestem już starszą.

— Kiedyby to cioci nic nie szkodziło, gdybym włożyła różową... — odzywa się głośno trochę nieśmiało.

— O! cioci napewno nic to nie szkodzi — rzekła panna Anna. — Idzie tylko o to żeby nie zaszkodziło tobie.

— Mnie? ciekawam jakim sposobem?

— Nie umiem ci na to odpowiedzieć w tej chwili. Obawiam się jednak iż kiedykolwiek próżność twoja na zle ci wyjdzie!

— Moja droga panno Anno, ubiorę się na wieczorek ciepło! włożę płaszczyk watowy, chustek co się zmieści, to cóż mi się stać może? W karecie zresztą nie będzie bardzo zimno.

— No wstawajże! wstawaj już prędkiej — woła nauczycielka. — Choć to niedziela, dzień przeznaczony na odpoczynek, nie przystoi młodej panience tak długo leżeć. Oto i Antosia wnosi herbatę! Nie zdążyś się ubrać do śniadania!

Rozmowę zakończy ukazanie się we drzwiach służącej z tacą i buchającym parą samowarem, następnie zaś pospieszne ubieranie Halinki, zrywającej się na gwałt z posłania.

Po śniadaniu panienci obie schodzą na dół, dzień dobry powiedzieć wujostwu.

W niebieskim gabinecie od ogrodu, zastają ciotkę przed kominkiem, na którym suty rozpalono ogień.

— Dzień dobry drogie dzieci — odpowiada na powitanie całujących jej ręce panienek. — Czyli raczej może niedobry?... Wiecie, taka zadymka na świecie, że przed chwilą oznajmił mi wujaszek iż o jeździe do kościoła nie podobna myśleć. Jeśli pogoda się nie zmieni, bardzo być może że i z wieczorku w Zalesiu nic nie będzie.

— O cioteczko! — zawołały płaczliwie panienci.

— Cóż robić?! I mnie żal będzie cokolwiek, jeśli słota zatrzyma nas w domu, lecz jakżeż na to rada? Poczekajmy, może przed wieczorem wicher nieco sfolguje. Tymczasem popomódlcie się, a potem zajmijcie czemkolwiek. Ty Broniu nie przeczytałaś jeszcze tej pięknej książeczki, którą dostałaś na kolendę; Halinka może przegra gammy? Uzbrojcie się w cierpliwość, a może prędzej doczekacie się pogody.

Łatwo to ciotce zalecać cierpliwość! lecz nie łatwo wcale zdobyć się na nią dziewczętom! Halinka wprowadziła do fortepianu, lecz pasażę które zwykle grywa z wielką wprawą, idą dziś jak po grudzie, palce niby drewniane uderzają w klawisze, ani taktu, ani harmonii!

— Zle! źle Halusi! — wołała z drugiego pokoju panna Anna, przeglądająca z ciotką dzienniki, ale i ta nagana nie wiele pomaga.

Bronisia smutna, wcisnęła się z książką w róg kanapki, ale nie bardzo wie co czyta. Oczy wprowadziła chodzą sumienie po drukowanych szeregach liter, lecz myśl buja gdzieś sobie daleko.

— Zdaje mi się, że się wypogadza? — odzywa się Halinka.

Pęc!... w jednej chwili książka spada na dywan, nuty z pulpitu zsuwają się na taboret i obie panienci pędzą do okna.

Ej, gdzie zaś! Śnieg sypie jak sypał! wiatr gwizdże, jęczy żałośnie, cisnąc się w okien szczeliny, szumi w gałęziach ogrodu, na świecie nawet nie zakracze wrona. Ciężko wdychając dziewczęta powracają do swych zajęć. Rozpoczynają się znowu przerwane gamy i porzucone czytanie.

— Teraz to widzę wyraźnie, że się wyjaśnia! — woła po chwili Bronisia.

— Gdzie? gdzie?

— O! tam zdawało mi się nad lasem!...

— To ci się tylko zdawało! O, patrz jak wieje zawiewucha!

Obie teraz kłękają na krzesłach i przykładają twarze do szyby, spoglądając w niebo żałośnie. Nie mogą zgodzić się z myślą, wyrzeczenia się zabawy. Od tygodnia już zaproszono je na wieczorek, odbyć się mający w domu państwa Dębskich, sąsiadów, mieszkających o półtoręj mili. Tak tam będzie wesoło! tyle się miało nazjeżdżać młodzieży. Samych domowych sześcioro; dwie młodsze Kazia i Helunia uczące się jeszcze przy nauczycielce w domu, starsza Kocia na święta przybyła z pensji i trzech chłopców, uczniów z warszawskiego gimnazjum. Tak by się wybornie bawili! Na rozpoczęcie zabawy ułożono żywy obraz, śpiewy i deklamacye. Halinka w obrazie przedstawiać miała rusałkę, a Bronia doskonale wyuczyła się śpiewu, bo ma głos dobry. Potem pączki, kolacya i tańce... a tu ten śnieg nieznośny leci i leci jakby nigdy nie miał przestać! Boże, Boże aż się chce płakać doprawdy! Wujaszek z fajką przechodzi się po pokojach, i żartuje jeszcze z biedaczek.

— A co moście panny? nic z jazdy! nic z pączków i zabawy!

Figlarz wujaszek martwi swe faworytki, a ukradkiem

mruga na ciotkę i pannę Annę, bo barometr zmienia się na pogodę i wróble z pod strzech wyjrzały na gumna.

Około południa, rozdierają się wreszcie chmury, rozjaśnia horyzont i wichurą jakby zmęczona kilkogodzinną swawolą, ustaje powoli. Śnieżek drobniuchny polatuje wprawdzie jeszcze zrzadka, utrwała się przeciw nadzieja, że i on ustatkuje się potrochu.

Podano właśnie do stołu, gdy bladawy odbłask, przedarłszy się przez szarą mgławicę, padł na biały obrus i zagrawszy na chwilę na ostrzach noży, przejrzałszy się w kryształe szkianek, zagaśł nową przysłonięty chmurą

— Słońce słońce! — wydają okrzyk obie panienci.

Rozlewając z wazy zupe na talerze, ciotcia spoglądała w okno, a potem na rozjaśnione twarze siostrzeniczek.

— Zdaje mi się Michale, że naprawdę można będzie wyjechać? — pyta z uśmiechem zwracając się do wuja.

Wujaszek wydał usta, zastrzygł wąsami i nic nie mówiąc zabiera się do talerza rosółu, który wypróżnia najspokojniej.

Boże miły! dobrze zajadać wujaszekowi! Halinka za to i Bronisia, udają tylko że jedzą. Nie idzie im w usta rosół ani nawet paszteciki, które tak lubią. Ustawicznie spoglądają za szyby, oczekując nowego promyka.

— Hm!... — odchrząkuje wreszcie wujaszek, odsuwając talerz. — Zaspy... zła droga... Zamordujemy kasztanki... po przeziębieniu się jeszcze panie... Czyż to warto? Może nam przecież kucharz w domu pączków usmażyć! Wszak prawda dziewczęta?

Panienci milczą. Spuściwszy oczka, mrugają powiekami, noski na końcach poczynają im się czerwienić!... udają wprowadzi, że to od chrzanu podanego do sztuki mięsa, ale wujaszek uśmiecha się chytrze, jednej to drugiej, ofiarując swą chustkę od nosa.

— Nie sprzeciwiaj że im się mój drogi! — woła wreszcie ciotka. Wiemy dobrze, że na wypadek pogody, kazałeś już Wawrzyńcowi konie mieć gotowe. Jedźcie prędko panienci, a po obiedzie skoczcie się ubierać, gdyż trzeba nam wyjechać wcześniej, bacząc na złą drogę.

Nie potrzeba wspominać, z jakim pośpiechem spożyta zostaje reszta potraw. Zaledwie wujostwo odłożyli noże i widelce, panienci zrywają się z miejsc swych, i uściskawszy wszystkich z kolei, biegną do siebie na górę.

— Zawołajcie sobie Franciszki, żeby pomogła wam się ubrać, a panna Anna pozostanie tu ze mną na chwilę — rzekła ciotka. Rozumie pani o co mi chodzi? — dodała gdy dziewczęta znikły poza drzwiami.

— Wybornie! — odparła panna Anna. — Chce im pani zostawić zupełną swobodę.

— Naturalnie! Ciekawa jestem, czy w ubraniu zastosują się do naszej rady, i czy rozsądek przeważy nad próżnością?

Tak postanowiwszy, ciotcia z panną Anną, udają się do siebie zmienić ubranie, wujaszek zaś wychodzi do sieni, wydać rozkaz żeby Wawrzyńcie, do powozu zakładał konie.

W godzinę potem, głośnie kłaśnięcie z bicza, oznajmia mieszkańcom doworu, że dzielna kasztanowata czwórka, z karetą, zatrzymała się przed gankiem.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Słynny podróżnik Stanley o którego spodziewanem przybyciu do Europy wspominaliśmy niedawno, tak opisuje przyrządzanie trucizny, którą dzicy w Afryce zatrują swe strzały.—Zaciekawieni byliśmy bardzo, mówi Stanley, jaką mogła być trucizna, która wywiera skutki tak zabójcze. Wra-

cając z Nyanza, aby dać pomoc postępującej za nami kolumnie majora Barttelota, zatrzymaliśmy się w Awizaba; tam, szperając wśród chat, napotkaliśmy stopy wysuszonej mrówek czerwonych. Dowiedzieliśmy się tam, że to właśnie ciała tych owadów, wysuszone i sproszkowane, a następnie wygotowane w oliwie palmowej, stanowią substancją, służącą do nacierania drewnianych ostrzy strzał; ciała te, powtarzam, tworzą truciznę, która nam zabrała, wśród strasznych cierpień, tylu ludzi w kwiecie wieku. Dziwić się przychodzi, żeśmy co do tej rzeczy tak długo w nieświadomości pozostawali; owady, któreśmy napotykali, mogłyby nam dostarczyć materiału do wielu podobnych trucizn.

Wszystkie te trucizny przygotowują się w lasach. Tam krajowiec rozpala ogień i tam przygotowuje swą straszną truciznę, która pokonywa nawet olbrzymiego słonia. Kuchni takiej niewolno rozkładać w sąsiedztwie wiosek. Strzały pokryte trucizną obwijają dziki starannie świeżymi liśćmi, aby sam ofiarą jej nie padł i gotów jest do walki.

Stanley nadmienia też, że trucizna ta działa głównie w stanie świeżym; ranni umierają na tężec. Porucznik Stairs raniony został strzałą, na której trucizna była już wyschlą i przygotowaną zapewne przed kilku dniami — wyzdrowiał on po trzech tygodniach, ale rana zabiłżniła się dopiero po kilku miesiącach.

Często zdarza się słyszeć, a częściej jeszcze czytać wyrazy: *lary* i *penaty*: „W tem domostwie umieściłem moje *lary* i *penaty*” wyrażają się ludzie chcąc powiedzieć, że w tem a tem domostwie zamieszkali. Wyrażenie to jest bardzo starożytne. *Penus* zwano u starych Rzymian sprzęty domowe, ztąd *penates* były to bóstwa opiekujące się domowemi zapasami i sprzętami. Zaś *lares* były u Rzymian a raczej w ich przekonaniu dusze przodków dobrych i zaenych, a więc dusze uświętoblione i przeto jako życzliwe i dobre duchy, opiekujące się potomkami swymi żyjącymi jeszcze na świecie. Posążki *penatów* w staro rzymskim domu stawiano na ognisku, a w miesiącu styczniu składano im na tem ognisku ofiary. I *lary* stawiano na ognisku domowem albo w osobnej kaplicy zwanéj *lararium*, a dnia pierwszego maja na cześć ich odbywano w Rzymie wielką uroczystość *laralia* zwaną. Na zwykle mniejsze ofiary składano pierwociny owoców, mleka i oliwy, na większe oddawano barany, jagnięta i cielęta. *Penaty* i *lary* w wyobraźni ludu jednoczyły się prawie z sobą, tak jak wizerunki ich jednoczyły się stawając razem najczęściej, na domowem ognisku. Rzymianin zakładający dom własny, przedewszystkiem obierał miejsce na to ognisko i ustawiał na nim swoje *lary* i *penaty*. Ztąd to do dzisiaj wyrażenie „umieściłem tu moje *lary* i *penaty*” znaczy: tu zamieszkałem. Były też w Rzymie *lares* i *penates publici* opiekujące się całym państwem, tak jak domowe opiekowały się pojedynczym prywatnym domostwem.

Zastanawiając się nad znaczeniem bóstw owych, widzimy wyraźnie że były to ubóstwione *cnoty* owoczesne. To też gdy czytamy że Rzym był potężnym państwem, dopóki Rzymianie wiernie czcili starych swych bogów, twierdzenie to znaczy dosłownie że Rzym, był potężnym, dopóki Rzymianie silnie trzymali się starych cnot, przez które wzrosli.

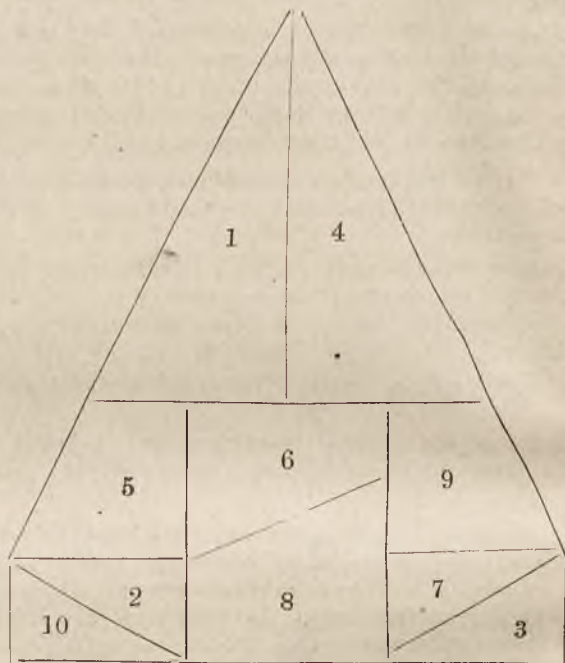
ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(dla Laureatki i Gwiazdy Polarnej od Królowej Wrózek).

Pierwsze w Paryżu, lecz nie w Warszawie,
Drugie w boleści, nigdy w zabawie,
Trzecie w krzeselku nie na stoliku,
Warszawa czwartą ma też bez liku.
Piąte w Kuryerze, niemasz go w Słowie,
Znajdziesz w Japonii jak i w Janowie
Wszystko zaś stary jest herb szlachecki,
O którym dawno pisał Niesiecki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go

Zadania geometrycznego:



Szarady:

K o t.

Pierwszy zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechnéj ilustrowanéj** wyszedł z druku. Wyszedł również 4-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

TREŚĆ: Alfons XIII, opowiadanie prawdziwe o małym królu, p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa. (c. d.) — Ośmiornica (z drzew.) — Wieczorek w Zalesiu. — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** W kożuchu i bez kożucha, wiersz (z drzew.) — Dobry Henryś p. Niezapominajkę z nad Warty. — Przygody Wicusia p. Annę Żaleńską. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



W kożuchu i bez kożucha.

Pudół, kosztem przyrody dostatnio odziany,
Wstydził się że wyglądał jak proste barany;
Więc mu ludzie przystrzygli ów kożuch barani
Taki ciepły na zimę choć prosty i tani,
W którym mu tak do twarzy było, też i który
Tak wybornie przypadął mu do psiej figury!
Ostrzyżono go, kitę zostawiając małą;
I choć się to pudłowi mniej wykwiłntne zdało
To i głowa i piersi nietknięte zostały
W sposób znany pod nazwą „à la lew wspaniały”.
Zdumniał pies i po lwiemu jął wyginać szyję...
Wtem czuje że mu jakoś krew do głowy bije,
A dalej mu znów zimno wieje od ogona,
Gdyż cała skóra z wełny tam ogołocona,
A tylne nogi długie jak mają szaraki...
Szczeknął więc rozgniewany na rezultat taki,
Gdy zmieniwszy swój kożuch na wykwiłnt ozdobny,
Lwem nie został, a stał się do psa niepodobny!

Dobry Henryś.

— Tatusiu! Czy ja będę miał choinkę na Boże Narodzenie? — zapytał siedmioletni chłopczyk, przystępując do mężczyzny siedzącego przy stole i zajętego składaniem różnych papierów.

— Nie wiem Henrysiu, ale zdaje mi się, że cię chyba gwiazdka nie ominie, bo byłeś przez cały rok bardzo

grzeczny i nauczyłeś się pisać — odpowiedział siedzący mężczyzna, który był ojcem chłopczyka.

— Tatusiu! powiedz mi prawdę — zawołał znów Henryś — czy to aniołek przynosi dla grzecznych dzieci choinkę tak ładnie ubraną, czy też tatuś lub mama ją kupują?

— Powiedz mi wpierrw Henrysiu, dla czego się o to pytasz — rzekł ojciec przerywając robotę i biorąc synka na kolana.

— Widzi tatuś — zaczął nieśmiało chłopczyk — wczoraj był u nas Kazio ze Stasią i spierali się o to, a ja chciałbym bardzo wiedzieć prawdę, bo jeżeli tatuś kupuje dla mnie choinkę, to ja mam wielką prośbę do tatusia.

— Jakaż to prośba mój synku — zapytał ojciec, gładząc jasne włoski chłopczyka.

— Taka prośba, że... ja wolałbym nie mieć choinki, wcale — mówił drżącym głosem Henryś.

— A to dlaczego? — zawołał ze zdziwieniem ojciec — przecież przed tygodniem słyszałem jak się cieszyłeś nadzieją dostania choinki.

— Tak, ale teraz wolałbym żeby tatuś zamiast choinki dał mi pieniądze na nią przeznaczone, a ja kupiłbym ubranie i książki dla Janka syna Antoniówój, bo on ma wielką ochotę chodzić do szkoły od Nowego Roku, a nie ma ciepłego ubrania i pieniędzy na książki — wypowiedział czerwieniąc się Henryś, a ojciec z rozrzewnieniem patrzył na synka, który wyrzekał się przyjemności dla uradowania Janka, syna biednej wdowy, wreszcie rzekł:

— Więc powiem ci teraz synku prawdę, że choinki aniołek nigdy nie przynosi, mówi się to tylko małym dzieciom, a żeby były grzeczniejsze, a zwykle rodzice im kupują choinki i ja też miałem ci ją tego roku kupić, ale jeżeli wolisz pieniądze, mogę ci je dać, tylko namyśl się synku, czy nie będzie ci żal ładnej choinki?

— O nie! nie! Ja już się dobrze namyśliłem. Och! Jakże się Janek ucieszył! — zawołał z radością Henryś, i zeskoczywszy z kolan ojca, ucałował mu ręce na podziękowanie. W tydzień potem była już Wigilia Bożego Narodzenia; Henryś bardzo był wesół, chociaż wiedział, że nie będzie mieć choinki, ale tę radość zastępowało mu zawiniątko leżące na krześle. Co chwila dobiegał do niego, oglądał książki, kajeta, grubą sukienkę i wołał cały drżący z radości:

— O! jakże się Janek ucieszył!

Wreszcie weszła mama i rzekła:

— Henrysiu, weź prędko paltocik, bo mam teraz czas, to pójdziemy do Antoniówój.

Chłopczyk ubrał się szybko, wziął chociaż z trudnością spore zawiniątko z krzeselka i poszedł z mamą do biednej wdowy. Nikt nie jest w stanie opisać radości Janka z nowego ubrania i z książek do nauki.

— O! mój kochany paniczu — wołał ze łzami obejmując za nogi rozpromienionego Henrysia — czemuż ja się za to odwdzięczę?

— Kochaj mnie Janku, a tem mi się zupełnie odwdzięczysz — rzekł wzruszony Henryś.

— Ach! mój Boże, ja miałbym cię nie kochać mój ty złoty, srebrny paniczyku — zawołał Janek i w głos się rozplakał.

— Nie nazywaj mnie paniczem tylko Henrysiem, mój drogi Janku — mówił Henryś, z trudnością od łez się wstrzymując, objął Janka za szyję i ucałował serdecznie. Przez resztę dnia Henryś był bardzo wesół, dziwnie mu było lekko na sercu a gdy się ojciec spytał, czy mu nie żal choinki, odpowiedział:

— O! nie, wcale mi nie żal, jestem dzisiaj najszczęśliwszy.

Gdy wszyscy wstawali od stołu, Henryś z wielkiem zdziwieniem usłyszał dzwonek w salonie. Naraz drzwi się otworzyły i oczom chłopczyka przedstawił się wspaniały widok. Na środku sali stała prześliczna choinka, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widział, opasana błękitną wstążką, na której złotymi literami były wypisane następujące słowa:

— Za dobre serduszeko, dla kochanego synka.

Pod choinką umieszczony był ładny koń drewniany, szabelka, fuzjka, mnóstwo porozstawianych żołnierzy i książek z obrazkami. Ujrawszy to wszystko Henryś sam nie wiedział co ma czynić, i stał tak parę minut, nie mogąc przemówić z radości; wreszcie przybiegł do rodziców ucałować ich ręce, a ojciec rzekł wtedy:

— Pamiętaj synku zawsze myśleć o potrzebach biednych a równie jak rodzice Bóg, i ludzie kochać cię będą.

— A czy tatuś i mamusia pozwolą mi jeszcze dać Jankowi i jego małej siostrzyczce Marysi część tych cukierków, pierników i zabawek?

— Z największą chęcią — zawołałi oboje rodzice i uściskali serdecznie dobrego synka. Jeszcze nie koniec było niespodzianek Henrysia na święta, gdyż nazajutrz przyjechała jego ciocia z trojgiem dzieci: Romciem, Stasiem i Helenką. Przyjechały także dzieci z sąsiedztwa: Stefcio, Zosia, Wańdzia i Tadzio, zabawili się więc wyśmienicie.

Niezapominajka z nad Wartę.

PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNĘ ZALEŃSKĄ.

III.

Wicusz ze spuszczoną głową odszedł, ale jakież było zdziwienie pana profesora, gdy ujrzał teraz przed sobą oblaną łzami twarz Adasia.

— To ja winien jestem — mówił łkając — ja te okropne wiersze wymyśliłem, on się ich odemnie nauczył.

Pan profesor chciał i dla Adasia okazać się surowym, ale uczciwy postępek roztrzępanego chłopca go wzruszył.

Tak, sprawiedliwie ci się należy, żebyś z Wicusiem karę podzielił, ale i jemu karę zmniejszą, bo nie starał się uniewinnić, ciebie oskarżając. Nie minie was jednak koza, żebyście na przyszłość nie byli tak lekko myślni; a teraz na miejsce i do porządku.

Tego dnia Wicusz, wracając do domu, minę miał rzadką, nos smutnie ku ziemi spuszczone, usta lekko z pogardą dla świata wykrzywione, uszy nawet przybrały postać niechęci i lekceważenia. Słowem, Wicusz całkowicie stracił uczniowską fantazyę.

— Co tobie — zapytała czule mama w czasie obiadu, widząc że jój synek prawie nic nie je; — nie smakuje ci dziś obiad?

— Owszem mamu, smakuje, ale nie jestem głodny.

— Może chory jesteś, dziecko moje, może cię co boli?

— Nie, niech się mama nie boi, nic mi nie jest.

Ale pani Z. nie przestała się niepokoić, widząc ciągle coś niezwykłego w synku, który się rozruszać nie mógł, mało mówił, niczem się nie przechwalał, Józia nie dokuczał, a nawet po obiedzie zaraz się wziął do nauki bez napominania, co niestety nie było w jego zwyczaju. Wieczorem przy herbacie znów mama badać go zaczęła.

— Może w klasie się co stało i dlatego jesteś smutny?

Wicusz, widząc że już dłużej milczeć nie może, rzekł w końcu poważnie:

— No, zgadła mama; były w klasie różne nieprzyjemności, ale mówić o nich nie mogę.

— Czemu?

— Ach mamu! — zawołał Wicusz z zapalem — bo mi honor nie pozwala. „Choćby cię smażono w smole, nie mów, co się dzieje w szkole”.

— Ależ synku mój — rzekła pani Z. przerażona tragicznymi pozorami — matce wszystko powiedziec nie tylko można, ale nawet trzeba.

Wicusz się jeszcze wahał i ciągle mrucał: choćby cię smażono... nareszcie, wzięwszy na odwagę. — Dobrze, już dobrze, rzekł stanowczo, już powiem wszystko, tylko niech Józia tego nie słyszy; ona jest jeszcze za młoda na to.

Na skinienie mamy, Józia choć niechętnie odeszła. Wicusz opowiedział całe zdarzenie, a mama bardzo się zmartwiła i winą Wicusia i karą, która go spotkała, a najbardziej jego nierozsądkiem.

IV.

Na parę dni przed imieninami pani Z., Józia i Wicusz mieli walną naradę, jakaby niespodziankę dla mamy urządzić?

— Wiesz co, Wicusiu, możebyśmy się jakiej komejdjki nauczyli we dwoje i zagrilibyśmy ją potem mamie, — rzekła Józia, po długim rozmyślaniu.

— Zwaryowałaś! ja ci się będę komejdjki uczył? i tak tej nauki mam już wyżej uszu. Ucz się sama, kiedyś taka pilna, ja co innego wymyślę.

— No to zaśpiewajmy co mamie, jakie ładne powinszowanie naprzykład.

— Tere fere, ona się powinszowania chce uczyć, a to śmieszne, jakbyśmy mieli po trzy lata.

— Nie masz wcale z czego się śmiać — zawołała obrażona Józia — przecież przeszłego roku także trzech lat nie miałaś, a powinszowania dla mamy się nauczyłaś i napisałaś je nawet w takiej ładnej laurce.

— Przeszłego roku było co innego, a tego także co innego; ot zawiadłem się na tobie, Józiu, myślałem że masz więcej rozumu!

— No to wymyśl co lepszego.

— Ho, ho! gdybym to ja miał kogo innego do pomocy, tobym z pewnością coś wymyślił, ale ja i tak sobie poradzę, na przykład, zaproszę wszystkich moich kolegów, i owacyę mamie urządzimy.

— Jak to owacyę? — zapytała rozciekawiona Józia.

— No, trzeba tylko, żeby mama kupiła parę butelek wina; wypijemy mamy zdrowie i podniesiemy mamę w górę. Wiwat!

— A tobyś dopiero mamę uraczył, pewniebyś was przez wdzięczność do kątów powstawiała. Wcale nieudatny projekt.

— Nieudatny? a czemu? mnie się on bardzo podoba. Ale zresztą można jeszcze co innego wymyślić. Przedewszystkiem ja nie pójdę tego dnia do klasy, boby mamie przykro było, a ty powinnaś pannie Teresie zapowiedzieć, że żadnej lekcyi nie będziesz z nią miała. Następnie będę sobie spać aż do południa.

— O! mama wcale z tego rada nie będzie, to byłaby przyjemność tylko dla ciebie. Nie, stanowczo to nic nie warte.

— Że też wy kobiety nigdy na nic zgodzić się nie chcecie — zawołał zniecierpliwiony Wicus; — zawsze nie i nie.

— A przecież to ty, chociaż jesteś mężczyzną, zawsze mi się sprzeciwiasz.

— Właśnie dla tego, żem mężczyzna, tyś powinna mnie słuchać.

— Otóż nie powinnam i nie będę.

— Nie, to nie — rzekł Wicus z gniewem — to i dobrze, już się nie znamy; pisuj do mnie na Berdyczów i rób co ci się podoba. Ja zrobię, co mnie się podoba i zobaczymy, kto na tem lepiej wyjdzie,—to mówiąc Wicus spojrzał pogardliwie na siostrę i dzieci rozeszły się na dwie strony. Po chwili jednak Józia, która bardzo brata swego kochała, powróciła do niego i zbliżyła się nieśmiało.

— Mój Wicusiu—rzekła—nie gniewaj się na mnie—ale ten bardzo zamyślony, zajęty był właśnie bębnieniem palcami po szybie.

— Nie znam cię! — odburknął, nie przerywając sobie miłego zatrudnienia. — Józia posmutniała, ale wiedząc z doświadczenia, jaką stałością Wicus się odznaczał w podobnych okolicznościach, nie próbowała udobruchać go, lecz siadłszy na niskiej kanapce, oddała się rozmyślaniu.

— Szkoda; we dwoje zawsze łatwiej, czy to wymyśleć, czy wykonać jaką niespodziankę, bo co dwie głowy to nie jedna. Szkoda, że ten Wicus taki niezgodny; przecież ja mu nic złego nie powiedziałam, a on się zaraz rozgniewał. Teraz sama sobie radzić muszę; ale i tak wiem, co zrobię, poproszę panny Teresy o wzór i wyhaftuję mamie pantofle.— Oj! Wicus pewnie coś mądrzejszego wymyśli, coś, co mamę tak ucieszy, że na mój dar nawet nie spojrzy. Ta myśl tak zasmuciła Józję, że poszła do swojej lalki, żeby się przed nią pożalić i naradzić.

A Wicus? Wicus bynajmniej się nie martwił, ani przypuszczał, żeby go zakasowała Józia. On był pewny swego rozumu i przyszła mu widocznie do głowy, jakaś myśl genialna, bo aż podskoczył z radości, a pobiegłszy do swego pokoju, starannie drzwi zamknął za sobą.

Przez parę następnych dni, dzieci nie bawiły się z sobą, nawet mało do siebie mówiły. Józia najczęściej przesiadywała w sypialnym pokoju z panną Teresą; Wicus często i z dziwną uprzejmością bawił się z Muszką pieskiem, faworytem mamy, który miał długą, białą, kręconą sierść i świecącą obrózkę na szyi. Piesek poczciwy, prędko zapomniał Wicusowi różne dawniejsze dokuczliwe figle i nie uciekał już przed nim ze strachu jak to dawniej bywało.

Pani Z. może zauważyła te zmiany, ale żadnych ztąd wniosków nie wyciągała. Między dziećmi ani razu już o niespodziance nie było mowy.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Obejmuje różne stany,
A najlepszy ten skórzany,
Gwoździkami nabijany,
Mój strój ukochany!

Przy nim kółka i kóleczka,
Z groszem własnym kaleteczka,
Razem kozik przyczepiony
Srodze wyostrzony!

Gdy w podkówki młodzi krzeszą,
To się wszystkie serca cieszą,
Lecą iskry, kółka brzęczą,
A ten miga, jak obręczą,
Gwoździkami nabijany,
Mój strój ukochany!

Zgadnijcież mi, jacy tacy,
I dziewczynki i chłopacy,
Jak się zowie, dobrze znany,
Co ozdabia różne stany,
Ów prosty skórzany?

Kto zaraz odpowie,
Wiwat mu! na zdrowie!

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go

Z a g a d k i:

Ja — szczur — ka.

ŁamigłóWKi gŁoskowéj:

K A
K A M A
A R O N
A R

Skrzynka do listów.

Doktorowi Gierszyńskiemu w Ouarville. Za przysłane 10 franków zapłacono rs. 3 kop. 60 do prenumeraty zatem całorocznej brakuje rs. 1 kop. 40.

Czarodziej z nad Ligówki zrobił omyłkę w układaniu szarady i dla tego drukować jej nie możemy, niema bowiem wyrazu włoskiego ry, ten który miał zastępować jest re.

Szaraj Koteczce przesyłamy w zamian najserdeczniejszy uścisk, ale liścik czekać musi swojej kolei.

M. W., siostrze Filaretki, która nam zostawiła tak miłe o sobie wspomnienie, serdecznie dziękujemy za wyrazy z pocziwego serduszka płynące. Numera zostaną wysłane.

Rozwiązania **Lucia des E.** są dobre, czego i on sam jest „pewny”. Chcąc korespondować z rówieśnikami, nadsyła się liściki do redakcyi, która je w *swoim czasie* wydrukuje, również jak liścik i szaradę przyslaną przez Kameleona. Powtarzamy w *swoim czasie*, co znaczy: nieprędko, bo korespondencyj i wszelkiego rodzaju łamigłówek, zagadek, szarad jest nawał ogromny.

Pomarańczarce rzymskiej odpowiedzieliśmy na jej liścik w parę dni po otrzymaniu go. Jeżeli odpowiedź nie została jeszcze wydrukowaną, wina to szczupłości piemka naszego, które nie zawsze może pomieścić w łamach przeznaczonych na korespondencye wszystkiego, co do jej działu należy. Tym sposobem odkłada się nieraz odpowiedzi z tygodnia na tydzień drugi, a czasem nawet i na następny. Bądź jednak spokojna, dziewczeczko, ani się na ciebie nie gniewamy, ani też nie pominęlibyśmy milczeniem liściku twego, bo *wszystkim* korespondentkom odpowiadamy.

Książę Geniuszów niech zastosuje do siebie odpowiedź daną Luciowi des E., oraz Kameleonowi. Ponawiamy prośbę tylokrotnie już do naszych czytelników zanoszoną, aby liściki przysyłałi na *osobnej* karteczce, nie zaś na tej samej ćwiartce co list do redakcyi. Przysparza nam to tyle roboty, że zmuszeni będziemy uważać za niebyłe liściki korespondentów, nie stosujących się do tego przepisu. Prosimy przytem Księcia Geniuszów o wynotowanie dla nas numerów, które nabyć pragnie. Numer kosztuje kop. 10.

„**Szczerym młodzieńczym sercem**” które nam z tak daleka przysyłałają pozdrowienie, ślemy podziękowanie za pamięć życzliwą. I tu nie zapominamy o was... Piemko nasze nadal wysyłamem będzie i postaramy się, aby szarady i łamigłówniki dostarczały materiału do „łamania głowy” nad niemi.

Niezabudka z nad Chomoru nadesłała dobre rozwiązanie szarady.

Drogi moje: Piosnko ze Słobódki i biała Akacyo! Tobie Piosneczko należy się odemnie uścisk i dzięki za obrazek. Posyłam ci także serdeczny pocałunek oddasz go drogiej i kochanej osobie, której powaga nie pozwala aby była wymienioną w naszym Piemku. Trudno odpowiedzieć na twoje pytanie, miła Akacyo. Może dla tego czujesz dla mnie sympatyę, że zdobyłaś przez całe lato mój kapełusz? Bujam obecnie nad Sekwaną, dla tego że się tu urodziłam i mieszkam, lecz wiesz, że gdybym była jaskółeczką, już od dawna do was bym pofrunęła! Życzliwa wam *Jaskółka z nad Sekwany*.

P. S. Orzełek ścisła Płateczek śniegu, a ja raz jeszcze ścisłkam moję kochaną M.

Barwinku! Śliczny kwiatku, jakże ładny sobie pseudonym obrałaś. Z listu twego do Gwiazdy nadziei wiem, że masz te same upodobania, co ja, gdyż i ja rysuję i jeżdżę konno od dwóch lat prawie, a ty od jak dawna? Mam nadzieję, że zechcesz korespondować ze mną i doniesiesz mi gdzie mieszkasz, jak się nazywasz i ile masz lat? Czekam twęj odpowiedzi, *Litwinka z nad Szczary*.

Rumianemu Jabłuszkowi, Złotój Rybce i Gosposi z nad Warty posyłam serdeczne uściśnienia.

Moje drogie: Stokrotko z nad Stochodu i Jesieni! Ubolewam nad twym smutkiem droga Stokrotko, ja takie same mam

zmartwienie z powodu choroby mojej mamusi, dzięki Bogu twoja już wyzdrowiała, ale moja jeszcze słaba. Tobie miła Jesieni dziękuję serdecznie za życzenia świąteczne i nawzajem ci je posyłam, chociaż spóźnione. Co porabiacie moje złote, czy ślizgacie się tańczycie lub czytacie? Ja czytuję z wielkiem upodobaniem, najprzyjemniejszą moją rozrywką jest ładna i zajmująca książka. Nie dajcie tak długo czekać na wasze odpowiedzi i to do tego tak króciutkie, ledwie wzmianki. Niezapominajcie o waszój kochającej *Westalce*.

Droga Biała Ostróżko! Z wielką radością przeczytałam twój liścik, chwyciłaś mię nim za serce. Korespondencya z tobą sprawi mi największą przyjemność, donieś więc gdzie mieszkasz, jak ci na imię ile masz lat? a spodziewam się, że w ten sposób poznamy się lepiej i będziemy się porozumiewać swobodniej. Zdaje mi się, że kocham cię już, przejęta wdzięcznością, że pierwsza odezwałaś się do mnie. Co do pseudonymu, to powiem ci tylko, że przysłowie mówi prawdę. Ścisłkam cię milion razy, a nie daj długo czekać na odpowiedź. *Cicha Woda*.

Majukochańsze: Sarenko z nad Morocz, Topolko srebrna i Chmurko! Dla czego nie piszecie? Czyście zapomniały o tój, która was bardzo kocha? Niedobre dziewczątka odpiszcie prędzej, bo inaczej pogniewam się i... poproszę redakcyę o wasz adres i pocztą wam poszlę straszną burę. Co teraz porabiacie? Posyłam wam 3 miliony całusów, po jednym dla każdej. Kochająca was *Cyganecka z nad Wisły*.

Kochane, Wesola Krakowianko, Gałązko Heliotropu i Zwina Wiewióreczko! Bardzo mi się podobacie, więc piszę do was. Droga Krakowianko, czy mogłabyś mi donieść, czego się uczysz? i gdzie mieszkasz? bo ja mieszkam w Warszawie. Gałązko Heliotropu, proszę cię donieś mi co o Szwajcaryi i o sobie. Miluchna zwinna Wiewióreczko, odpisz mi czy chodzisz na pensyę? i gdzie mieszkasz? Pamiętajcie odpowiedzieć kochającej was już choć nieznajomój *Jutrzence*.

Najmilsze moje: Złota Wierzbo i Reginko! Bardzo wdzięczną wam jestem za liścik. Tęsknię za wsią, bo większą część mego „długiego” życia na wsi spędziłam. Od miesiąca jestem chorą, więc czas mi niezbyt mile upływa. Każdęj niedzieli mam ochotę z wami porozmawiać!! Ścisłkam was serdecznie, *Biała Akacya*.

Kochany Maksiu Z.! Zapewne zdziwisz się odebrawszy list przez „Wieczory”. Zgadnij kto jestem, ja cię znam bardzo dobrze, na dowód tego piszę, że chodzisz do szkoły Technicznej i masz jednę siostrę B. starszą od ciebie. Nadaj sobie jaki pseudonym, abyś mógł korespondować ze mną, a ja jako starszy chętnie ci rad udzielać będę. Życzliwy ci zawsze *Blondyn*.

Kochana Gwiazdka Podolska! Znamy się dobrze. Moja siostrzyczka zmienia pseudonym z Gwiazdy na „Złotą Przędzę”. Odpisz prędko. Całuję cię twoja *Żabka Podolska*.

Kochana Biedronko Warszawska! Sądziłam że nie chcesz ze mną korespondować, nie mając tak długo odpowiedzi, to też przeczytawszy twój liścik ucieszyłam się bardzo. Donieś mi jak się zowiesz? Gdzie się uczysz? Ile masz rodzeństwa? Mnie na imię Hanna, uczę się w domu, mam młodszego brata i siostrzyczkę która zaczęła się teraz uczyć. Ścisłkam cię serdecznie i proszę o prędką odpowiedź. Twoja *Czarnooka z Puszczy*.

P. S. Porankowi Majowemu i Brzydoteo nie mogąc do nich napisać tym razem, zasyłam pozdrowienia, również jak Litwince, którą zapytuję czemu nie odpisuje?

Kochana Czarnooka z puszczy! Ponieważ wspomniałaś o mnie w liściku do Gałązki paproci, donoszę ci więc, że i ja mam czarne oczy, ale i włosy czarne i jak ty 11-ty rok. W lecie jeżdżę konno, a tój zimy ślizgam się z wielką przyjemnością. Lubię bardzo nasze kochane „Wieczory”, donieś mi co ci się w nich najwięcej podobają, bo mnie wszystko. Z listów twoich do innych panienek wiem, gdzie mieszkasz, i żałuję że tak daleko, bo chciałabym cię poznać, ja mieszkam na wsi w guberni Kieleckiej. Pozdrawia cię *Jutrzenka*.